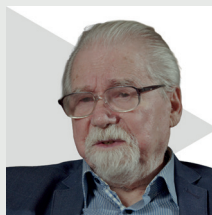


Jerzy Jachowicz



część II z III

Sygnatura notacji: **N0659**

Data urodzenia: **15.05.1938 r.**

Data nagrania: **04.03.2025 r.**

Miejsce nagrania: **Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL, Warszawa, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 47 min, część II: 52 min, część III: 52 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**

TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Jerzy Jachowicz: Muszę powiedzieć, że w czasie tego przewożenia z Bydgoszczy do Koszalina przeżyłem chwilę grozy, co ciekawe, które później w innych sytuacjach, dwukrotnie także przeżywałem. Mianowicie była to autentyczna obawa o własne życie. Po prostu, kiedy oni wieźli mnie i, o czym nie miałem pojęcia, droga między innymi najwyraźniej prowadziła przez Bory Tucholskie, w którymś momencie, a było to nad ranem, po kilku godzinach już zrobiło się całkiem przyjemnie, ciepło i dla mnie z nieznanых powodów samochód zatrzymał się w środku lasu. I wtedy pomyślałem sobie, a już znałem dokładnie, już wtedy miałem wiedzę, na co stać ówczesną władzę, na co stać Służbę Bezpieczeństwa, na co stać policję [milicję], pomyślałem sobie: no nic, no tutaj nikt się nigdy nie dowie, w jaki sposób załatwią mnie, prawdopodobnie zaaranżują próby ucieczki i zastrzelenie, i gdzieś zakopanie w jakimś dole. I byłem o tym przekonany, tym bardziej, że oni już stosowali wtedy metody, o których ja... Z jednej strony wiedziałem, ale z drugiej strony przyjmowałem je jako coś możliwego, jako coś prawdziwego. Mianowicie usłyszałem jedno zdanie, które oni wypowiadali wobec siebie. Ja siedziałem w samochodzie, oni wyszli na zewnątrz i ze sobą rozmawiali. I słyszałem takie zdanie: „No, ale jak się nie przyzna, to zrobimy to, co trzeba”. I dla mnie to „zrobimy, co trzeba”, to jest to założenie, że właśnie to już są ostatnie chwile mojego życia. Co ciekawe, później całkiem podobną sytuację przeżyłem na Ukrainie. I to dwukrotnie. Pierwszy raz, kiedy jechałem na Ukrainę, to był rok 1989 i miałem tam listy polecane z Kijowa od grupy takich opozycjonistów związanych z ówczesną, to się nazywało Fundacja Helsińska, to była taka organizacja międzynarodowa, która między innymi miała także swoją odnogę w Polsce i do dziś chyba ma. Ale to była wtedy instytucja niezależności od władz rosyjskich. Do nielegalnej podziemnej Helsińskiej Fundacji należało kilku literatów, których poznałem w Kijowie, będąc tam na stypendium naukowym, kiedy w Kijowie zbierałem materiały do pracy doktorskiej. Praca doktorska miała tytuł: „od Nietzschego, poprzez Łunaczarskiego

do Gramsciego". To miała być taka praca pokazująca budowę nowego człowieka, człowieka nowego ustroju, całkowicie nowej formacji, nowego formatu itd. To, od czego echa dziś mamy m.in. w działalności, nawiasem mówiąc, pani Barbary Nowackiej, ale to jest całkiem osobna sprawa. Ale od tych właśnie literatów miałem list polecający do opozycjonistów w Doniecku, do których jechałem. I tam w Doniecku przywitano mnie bardzo serdecznie. Adresat tego listu od razu zorganizował dla mnie, pamiętam dokładnie, uroczyste przyjęcie. Polegało ono na tym, że postawiono na stole, na którym niewiele było innych rzeczy, poza stolikiem, krzesłami i chyba jakimś, nawet nie tapczanem, tylko troszkę szerszą ławą, była duża butelka samogonu i duża miednica pokrojonej cebuli i pomidorów, bez widelców, bez niczego, i takie szklanki charakterystyczne dla herbaty. Rozmawialiśmy, wieczeraliśmy można powiedzieć, aż wreszcie postanowiono odwieźć mnie do takiego malarza, jak mówiono, do malarza na spoczynek, tam, gdzie mam spać. Donieck akurat jest takim miastem rozległym, że wtedy, kiedy mnie wieziono, to w którymś momencie nagle zaczęliśmy jechać, a dwóch tych miejscowych Ukraińców mnie wiozło, jechaliśmy drogą znowu przez las. Ja sobie pomyślałem: no nie, to jest niemożliwe, żeby w Doniecku, żeby mnie gdzieś tam wieźli na nocleg. To po prostu są podstawieni ludzie, którzy teraz mnie załatwią i ten... Naprawdę pierwsza taka myśl przeszła. I trzeci raz, kiedy byłem już w Doniecku, pamiętam na strajkach, na strajkach górników i kiedy zostałem zaarrestowany przez ówczesny KGB i też wieziono mnie na lotnisko i też kolejny raz przez las. Inaczej mówiąc, za każdym razem, kiedy byłem wieziony przez ciemny las, od tamtej pory, od pierwszego przejazdu, miałem takie uczucie, że nie wiem, czy to nie są już moje ostatnie chwile. Oczywiście okazało się to wszystko na szczęście nieprawdziwe. Wracając zatem do czasów PRL, siedziałem chyba około pół roku, pamiętam, w areszcie, kiedy odbyła się rozprawa. Podczas rozprawy sądowej ja miałem... nie miałem wspólnie z kimkolwiek innym z tej grupy, która została zaarrestowana i przeciwko której skierowane zostały skierowane akty oskarżenia do sądu, tylko odbył się zarówno Jurka Patana, tylko nie pamiętam, czy przede mną czy po mnie, proces osobno, mój osobno i tak dalej. W czasie tego procesu ja zachowywałem jeszcze taką pełną wiarę w to, że słowo prawdy przebiję się w tym sądzie, więc wygłosiłem, można powiedzieć, taką... Taki rodzaj manifestu politycznego trochę, jednakże pamiętam przechylonego w trakcie takiej próby samoobrony, bo wystartowałem bez adwokata. Mamy nie było stać na to, żeby opłacić adwokata. Ponadto ja nie chciałem, wolałem sam się bronić. I pamiętam, że wygłosiłem takie przemówienie, które z jednej strony atakowało ten ustrój, a z drugiej strony miało być takim rodzajem wyjaśnienia, skąd ten mój młodzieńczy protest. Mianowicie przedstawiłem siebie jako człowieka, który wierzył, ufał w ideę, który był przekonany do tego, że rzeczywiście w Polsce zostaje budowany ustrój szczęśliwości powszechnej itd. Ale wszystkie fakty, które miały miejsce od wielu, wielu lat, a szczególnie w tym okresie po 1956 roku, przeczą temu i w związku z tym taki naturalny odruch młodzieńczego protestu, wyrażającego się w tej działalności. To pewnie niewiele pomogło. Faktem jest, że podczas pierwszego procesu ze względu na uznaną niską szkodliwość społeczną czynu – tak to się nazywa chyba do tej pory – sprawa została umorzona, aczkolwiek byłem, na co warto zwrócić uwagę, dziś to już jest sprawa całkowicie nieznana i można powiedzieć historyczna. I być może nawet akurat my, cała ta grupa, być może, nie jestem pewien, była sądzona z tak zwanego, jakby już być może należała do ostatnich grup, które w Polsce były sądzona z tak zwanego małego kodeksu karnego. To był kodeks, który pochodził wprost z kodeksu Związku Radzieckiego i był czystym tłumaczeniem po prostu kodeksu radzieckiego, gdzie ten czyn rozrzucenia tych ulotek, ukazujących te rzeczy, o których mówiłem, był umieszczony w paragrafie: zamach chyba na... Zamach na Polską Rzeczpospolitą Ludową. Po prostu tak, jako zamach na ustrój. Taki to był paragraf, już nie pamiętam jaki, ale, w którym jako minimum było 3 lata więzienia. Ten mały kodeks karny przewidywał. No ale jak powiadam, sprawa została umorzona, ale była rewizja i po jakimś cza-

się, chyba po roku, był drugi proces, w którym zostałem skazany na rok więzienia z zawieszeniem na 3 lata. Istota rzeczy polega na tym, że od tego momentu, muszę Panu powiedzieć, o czym dowiedziałem się dopiero w 1990 roku, na początku 1990 roku, a więc od początku lat 60-tych można powiedzieć, przez te blisko 30 lat, czy ponad 30 lat, miałem cały czas i pozostawałem cały czas w obrębie, czy tam pod obserwacją przez Służbę Bezpieczeństwa i to w różny sposób. Albo przez takie dokładne przypatrywanie się, czym się zajmuję, z kim się spotykam, co robię, jak zmieniam miejsca pracy, czy uczelnię itd. Aż włącznie do inwigilacji przez agentów, którzy zostali skierowani do przekazywania informacji o mnie, przy czym i to jest jedna z najsmutniejszych rzeczy, jaka w życiu mnie spotkała, mianowicie, że jeden z tych agentów był traktowany przez mnie przez wiele lat, aż do czasu ujawnienia tego, był traktowany, jak autentyczny przyjaciel. Zaczęło się to właśnie w Toruniu, kiedy ja po wyjściu z tego więzienia i po drugim wyroku przenieśliśmy się na studia, do Torunia, razem zresztą wtedy także z owym Ryszardem Wolnym, u którego zamieszkiwałem i w którego mieszkaniu zostałem zatrzymany. Obydwaj przenieśliśmy się do Torunia na Wydział Filozofii. Dopiero stamtąd po jakimś czasie przenieśliśmy się na filozofię do Warszawy, Ale to jest całkowicie inna historia. Natomiast istota rzeczy polega na tym, że w Toruniu, mieszkając w akademiku, bardzo zbliżył się do mnie kolega, z którym szybko złapaliśmy wspólny kontakt. Okazaliśmy się, że pasujemy do siebie niezwykle mentalnością, nawykami, spojrzeniem na świat i tak dalej, i który stał się moim przyjacielem i w którymś momencie zaproponował, żeby zamiast mieszkać w akademiku, żebyśmy spróbowali wynająć mieszkanie, jako kwaterę studencką. Ja powiedziałem mu, że... Nie będę wymieniał jego nazwiska ani imienia, bo to może nie warto, nie chciałbym zresztą szargać, bo nie wiem, co teraz robi. Otóż powiedziałem: „słuchaj, no – tu nie wymieniam jego imienia właśnie – słuchaj, ale ja nie mam środków finansowych, nie mam pieniędzy, moich starych nie stać na to, żeby pomagać mi, wiesz? Ja tutaj i tak dorabiam, jak mogę tam gdzieś w tych tak zwanych spółdzielniach studenckich, chwytając jakieś drobne prace, nie wymagające żadnych kwalifikacji, a dające minimalny dochód. No i nie będę miał też pieniędzy dodatkowych na życie, jednak w akademiku rano mam śniadania, obiady i tak dalej. To wszystko za grosze, a tak to trzeba same-mu”. – Ale Jurek, ja to wszystko załatwię, nie martw się. A on pochodził ze wsi, z autentycznej wsi, rodzice mieli duże gospodarstwo, byli bogaci, miał duże rodzeństwo, równolatków, siostry, braci, którzy pomagali w tym gospodarstwie. I rzeczywiście okazało się, że on pokrywał koszty tego mieszkania i tam mieszkaliśmy chyba przez ponad półtora roku, zanim ja zdecydowałem się przenieść do Warszawy z Torunia. No ale okazało się, że on był tym agentem, który informował o różnych moich przedsięwzięciach, których tam dokonywałem, różnych drobnych rzeczy, typu rozmowy, ale także całkowicie zdawałoby się z punktu widzenia politycznego nieistotne, w każdym razie nie mające na myśli jakiegoś dokonywania, jakichś działań ściśle politycznych, aczkolwiek mające posmak tego wprowadzania, można powiedzieć, w działalność studencką pewnych elementów całkowicie nieznanymi dla systemu komunistycznego, jak na przykład zaproszenie, a ja byłem wtedy przewodniczącym takiego koła filozoficznego młodych filozofów w Toruniu, działałem w takim klubie, który chyba nazywał się „Odnowa”, ale nie jestem pewien. Ale tak jakby mi chodziło po głowie, że to „Odnowa” się nazywał ten klub studencki. I zaprosiłem do tego klubu filozofa australijskiego, polskiego pochodzenia, który miał opowiadać o współczesnej filozofii. No i okazało się, że zarówno później pisaliśmy do siebie listy z tym filozofem, i okazało się, że te listy były także obiektem – co też się dowiedziałem dopiero w dokumentacji IPN-u – były także obiektem zainteresowania Służby Bezpieczeństwa. No a jak powiadam, informatorem, co zostało tam uwidocznione w tych dokumentach, był właśnie mój ów przyjaciel. No ale zanim o tym się dowiedziałem, to przecież był olbrzymi, długotrwały okres stanu wojennego. Ja po powrocie z Kijowa, a wróciłem, bo stan wojenny zastał mnie w Kijowie, wtedy, kiedy ja rozpocząłem to stypendium w październiku 1981 roku,

tam zastał mnie stan wojenny. – Jest Pan wtedy asystentem już na Politechnice Warszawskiej, tak? – Już wtedy byłem asystentem i co ciekawe, skierował mnie na to stypendium, co było w ogóle dla mnie zdumiewającą rzeczą, mój szef, który nazywał się nomen omen Henryk Swienko. A więc człowiek, który nosił nazwisko takie klasyczne, typowo ukraińskie. On był przewodniczącym, on był chyba... Nie wiem, nie był przewodniczącym, był członkiem partii na tym oddziale filozofii nie Uniwersytetu, tylko Politechniki Warszawskiej. Ja byłem zatrudniony na Wydziale Architektury, gdzie wykładałem historię filozofii sztuki. A on, wiedząc o moich koneksjach, nie wiem, w jaki sposób się dowiedział, ale prawdopodobnie od jednego z asystentów, taki był Jan Dzierżyński, do którego miałem zaufanie chyba. I Jan Dzierżyński i chyba taki był, a nie jestem pewien, Tadeusz Okrasa, jeżeli pamiętam nazwiska. To byli dwaj moi koledzy, także asystenci filozofii, którym dostarczałem bibułę Komitetu Obrony Robotników. Było takie pismo, które wychodziło regularnie, taki rodzaj miesięcznika, dwutygodnika, nazywał się „Robotnik”. I ja mając kontakt z niektórymi ludźmi z Komitetu Obrony Robotników, dostawałem regularnie i zawsze prosiłem o kilka egzemplarzy więcej, żeby móc kolportować to pismo. No i przekazywałem je właśnie owym dwomu wymienionym tu przez chwilę kolegom. Dostyc, że ten Henryk Swienko jako szef Katedry, jako człowiek wyznaczony na najbardziej odpowiedzialne stanowisko ideologiczne, ponieważ w owym czasie na wyższych uczelniach wszystkich obowiązywało coś, co się nazywało filozofia marksistowska, stał się stałym konsumentem tegoż „Robotnika”. I w związku z tym jakby do pewnego rodzaju więź się między nami wytworzyła i on nagle mówi: – panie Jerzy, załatwiłem panu stypendium w Kijowie na Uniwersytecie, żeby pan mógł zbierać materiały o Łunaczarskim. Bo istotnie Łunaczarski pracował na Uniwersytecie. I tam na Uniwersytecie Kijowskim było mnóstwo jego rękopisów, które całkowicie były nieznanne, a które w ogromny sposób, można powiedzieć, wzbogacały taką standardową pracę doktorską. No i w tym celu tam się udałem. Po powrocie jeszcze pracowałem przez około... Chyba do... Jak zacząłem w 1982 w październiku, to bodajże do wiosny, chyba wiosną 1983 roku zostałem zwolniony. Zostałem zwolniony i to najwyraźniej było w tym piśmie, które otrzymałem za współorganizowanie, tak to nazywano, za współorganizowanie NZZ-u, czego jeszcze w tamtym czasie nie robiłem, natomiast faktem jest, że te zajęcia na architekturze nie tylko odbiegały od tego, co się nazywa filozofią marksistowską, ale były ich zaprzeczeniem. Co więcej, miałem wspaniały kontakt z tymi studentami, z którymi po zajęciach często rozmawialiśmy o tym, co się dzieje w Polsce w stanie wojennym. No i kiedy zostałem zwolniony, a miałem już wtedy rodzinę, córka miała wtedy chyba lat sześć albo siedem, no musiałem pracować. Muszę przyznać, że pomogli mi różni ludzie w tym, żeby jakoś mieć jakiegokolwiek zawieszenie w życiu. Wtedy jedną z podstawowych rzeczy, które utraciłem, kiedy zostałem zwolniony z pracy, to były tak zwane kartki żywnościowe. Już nie pamiętam dokładnie, ale na pewno były te na określonej ilości, niewielką, założymy 5 kg miesięcznie, może mniej mięsa i jego wyrobów, kilka kilogramów cukru, mąki, takie klasyczne w stanie wojennym kartki żywnościowe. One były niezbędne dla normalnego gospodarstwa domowego. Pamiętam, miałem takiego kolegę z okresu studiów, Andrzej Uchalski, który w tym czasie, nie wiem, jak mu się to udało, założył taką firmę. Już wtedy były chyba pewne ulgi, pojawiły się w 1983 roku, może pod koniec 1982. Założył firmę kupno-sprzedaż, nazywała się ta firma Unicum, pamiętam jak dziś. Mieściła się na ulicy Noakowskiego, naprzeciwko Politechniki Warszawskiej. Kiedy dowiedział się, że ja mam takie kłopoty z tymi kartkami, że nie mam żadnej pracy: – Jurek, to ja ciebie u siebie zatrudnię jako komiwojażera, czyli takiego człowieka, który propaguje moją firmę. Będziesz przychodził raz na miesiąc, tylko będziesz wciągnięty jako pracownik. Musisz dostawać minimum pieniędzy. Minimum wynagrodzenia wtedy, to dokładnie pamiętam jak dziś, było 500 zł miesięcznie. I będziesz podpisywał kartę obecności i dostawał te kartki na żywność. No i tak to trwało, muszę powiedzieć, przez ładne kilka lat udawało mi się. No ale jednocześnie to nie był żaden inny dochód, więc ja pamiętam,

nawiązałem kontakt ze swoimi kolegami, z którymi znaliśmy się zaraz po utworzeniu Solidarności, ale znaliśmy się także wcześniej z jakichś spotkań w różnych grupach. Między innymi, pamiętam, był na pewno Andrzej Gelberg i był Skalski, jak się później okazało zresztą w dawnych czasach chyba tajny współpracownik Służby Bezpieczeństwa. I był przede wszystkim mój przyjaciel, z którym się już od kilku lat znaliśmy, taki Andrzej Roman. I oni byli w spółdzielni, która nazywała się Omnipress. To była w Warszawie, bardzo blisko ulicy Brackiej, taka instytucja dziennikarzy pozbawionych pracy, którzy wytwarzali różne teksty. I te teksty sprzedawali do różnych pism lokalnych. Za to były całkiem niezłe pieniądze. I Andrzej Roman zaproponował mi, żebym po prostu pisał do tego Omnipresu. To, na czym się znam, a więc znam się na kulturze, na filmie, na teatrze. I takie kawałki pisałem, za które dostawałem całkiem niezłe pieniądze, aż wreszcie Andrzej Roman, który był zapalonym miłośnikiem tenisa i jeździł na każde zawody Rolanda Garrosa od wielu, wielu lat do Paryża i tam nawiązał kontakt z Jedlińskim, tak się nazywał Jedliński, znany wydawca wtedy paryski, będący na emigracji, że napiszemy książkę. To załatwił Andrzej i zaproponował mi współpracę przy tworzeniu tej książki. Ja tam napisałem bodajże cztery teksty. Książka nazywa się „Komedianci. Rzecz o bojkocie” i ogólnie rzecz biorąc opowiadała o demonstracyjnym wstrzymaniu się ze współpracy z polską telewizją i z polskim filmem przez najwybitniejszych polskich aktorów i aktorki. I o tym była ta książka. Później powstała, ona została wydana w Paryżu bodajże w 1987 roku. Później wydano również w Paryżu drugą książkę, również u Jeglińskiego. I również Andrzej Roman był – świętej pamięci, niestety – Andrzej Roman był jej pomysłodawcą, inicjatorem. I głównym autorem właściwie, który pilnował tego wszystkiego. Ciekawe, że przy obydwu tych pracach, mimo, że każdy z nas był przekonany, że wszyscy uczestnicy tej pracy są całkowicie czysti i godni zaufania, to nawet okazało się, że przy tych książkach pracowało dwóch tajnych ludzi, współpracowników Służby Bezpieczeństwa. I mieli świętą przykrywkę, właśnie współdziałając. No ale to już uznane było za niegroźną działalnością i niewymagająca represji w stosunku do autorów tej książki, tych książek właściwie. No i tak... Z drugiej strony uznałem, że praca przy tych książkach nie wystarcza. Sam nawiązałem współpracę dzięki znajomości z Antkiem Macierewiczem, z Antoniem Macierewiczem, z wydawanymi przez niego i pewien krąg osób wydawnictwo. Nazywało się to „Wiadomości Dnia” oraz taki kwartalnik, który czasami był kwartalnikiem, czasami dwumiesięcznikiem, Mianowicie „Głos”. I tam zacząłem pisać głównie do „Wiadomości Dnia”, a później także i do „Głosu”. I tak na tym upływały mi lata stanu wojennego. Natomiast drugim źródłem utrzymania, oprócz tej współpracy z pismami podziemnymi, była nielegalna, w każdym razie nieformalna praca, jak się dziś mówi, na dziko, w stolarni pod Warszawą. W Piastowie, w takim polu, pamiętam, jeździłem pięć razy w tygodniu, była praca na akord, całkiem niezłe wynagradzana, ale żeby zarobić jakąś równowartość taką, którą za pracę na uczelni otrzymywałem, to musiałem tam przy tej maszynie stać, bo to była praca na stojąco, wykonywana na stojąco, musiałem stać około 12 godzin najczęściej. 12 godzin dziennie, czyli od 8 rano do 8 wieczorem. No i tak mniej więcej wyglądał okres mój, czy moje życie. Bardzo, muszę powiedzieć, znikome, jeśli chodzi o tak zwaną działalność polityczną, o znikomym znaczeniu z punktu widzenia tych ludzi, których nazwiska są głośne i których – mówię to bez żadnej kokieterii – nie tylko dziesięciokrotnie, ale bardzo często stukrotnie mają większe znaczenie dla dziejów Polski. Niemniej jednak takim, mogę powiedzieć, już drugim bardziej owocnym okresem z punktu widzenia pewnego tworzenia tego, co nazywamy próbą stworzenia nowych warunków do życia w Polsce, to niewątpliwie też mówię bez żadnej chępliwości, bo to nie jest w tym wielka moja zasługa. Niemniej jednak już jakiś bardziej może istotny wkład mam w okresie pracy w „Gazecie Wyborczej”. To może taki bardziej widoczny, przynajmniej publicznie, ślad mojego stosunku do tego wszystkiego, co się wiąże z komunizmem. Bo muszę powiedzieć, że jak tak patrzę teraz z lotu ptaka na swoją biografię, która gdzieś tam w tych młodzieńczych początkach

rozpocząła się jako przeciwstawienie się komunizmowi, bolszewizmowi, i wszystkich jego różnych wersji, które miały miejsce. Nawiasem mówiąc, przecież praca doktorska, ta zamierzona praca doktorska, miała być nie czym innym, tylko pokazaniem fałszywości i utopijności tego ciągu tworzenia nowego człowieka, wymyślonego w teorii przez tych trzech kluczowych w takim ciągu myślicieli. Głównie myślicieli, to znaczy przede wszystkim Nietzschego, w mniejszym stopniu już myśliciela, tylko teoretyka, ale głównie również działacza komunistycznego, jakim był Anatolij Łunaczarski, no i wreszcie po części filozofa, ale z drugiej strony także propagatora, a nawet ideologa, mianowicie Antonio Gramsciego, Włocha, który również prezentował ten sam sposób myślenia, czyli możliwość stworzenia nowego, szczęśliwego człowieka, który będzie zaprzeczeniem w gruncie rzeczy dotychczasowego biegu rozwoju cywilizacji, a więc zaprzeczenie zarówno religii, jako jednego z fundamentów tworzywa takiego człowieka, jak i mechanizmów prawa rzymskiego, jako również jednego z twórców współczesnej cywilizacji, zarówno tej kulturowej, jak i cywilizacyjnej. Jak patrzę teraz na tą swoją działalność, jak mówię o tych naj młodszych latach, tak naprawdę do dnia dzisiejszego to jest nic innego, tylko próba jakby przeciwstawienia się temu złu, który niesie ze sobą komunizm, który niosą ze sobą ideę komunizmu. I to było zarówno, jak mówię, w tych pierwszych odruchach, jak i później w coraz bardziej świadomej działalności, w okresie stanu wojennego, no i wreszcie także w okresie pracy w „Gazecie Wyborczej”. A i poza tym, kiedy patrzę z tego punktu widzenia na Polskę i na swój niezwykle skromny, naprawdę niezwykle skromny wkład w tą walkę z komunizmem, to widzę, że to jest walka, która kiedyś się rozpoczęła dla wielu ludzi mojego pokolenia, ale także nieco młodszego. Walka, która trwa do dziś tak naprawdę, bo, jeżeli ją rozpocząłem działalność w „Gazecie Wyborczej” od próby rozliczenia ze zbrodni MSW, to przecież w sposób całkowicie niezauważony, dopiero kilkanaście lat potem dało się zauważyć, że wśród tych pozostałości komunizmu są nie tylko zbrodniarze należący do Służby Bezpieczeństwa, czy ogólnie rzecz biorąc do MSW, a także do niektórych formacji wojskowych, takich jak na przykład Wojskowa Służba Informacyjna, ale plony tego zbieramy do dziś, to na przykład cały aparat sądownictwa. Ale okazuje się nie tylko aparat sądownictwa, ale także bardzo często aparat biurokratyczny. Kiedy patrzę teraz na tą swoją działalność, ale działalność wielu tysięcy ludzi, tych anonimowych wydawców, anonimowych drukarzy, kolporterów, którzy nie mieli szczęścia, żeby zaistnieć na kartach historii, całe szczęście, że Instytut Pamięci Narodowej w bardzo wielu pracach daje ślad także ich działalności. Ale kiedy spojrzę na te ponad 30 lat od tego, co nazywamy przełomem, co nazywamy powstaniem Polski demokratycznej, to przecież można powiedzieć, że ta Polska do tej pory nie pozbyła się, ale w sposób niezwykle dla siebie szkodliwy, dla demokracji szkodliwy, tego balastu komunizmu i bolszewizmu. I on przejawiał się nie tylko w tym, co mi się udało od czasu do czasu wyciągnąć z tych czeluści archiwów MSW i z tych zbrodniczych dokonań MSW, ale przecież mitami założycielskimi tej Polski demokratycznej było wiele rzeczy, które do dziś ciążą i które do dziś są śladami tego, jak ułomna, jak słaba, jak mizerna z jednej strony, ale dlatego, że przesiąknięta ciągle elementami komunizmu, jest współczesna Polska, Polska niewątpliwie aspirująca do demokracji. Ja pamiętam taką rzecz, która w tej chwili jest rzadko przypomniana, już nie chcę mówić o zbrodniach i zabójstwach na samym progu tworzenia nowej Polski demokratycznej, zabójstwa seryjnego, można powiedzieć, księży: Niedzielaka, Zycha, nie mówiąc o księdzu Jerzym Popiełuszcze, ale także taki mit, jak afera, to w sprawach ekonomii mówimy, czy finansowych Polski mówimy o aferze FOZZ-u, Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego, ale taką rzeczą, jak pierwsze wybory, kadłubowe wybory, ale pamiętajmy w 1989 roku 4 czerwca przepadła całkowicie tak zwana lista krajowa PZPR. W stanie wojennym, bo chciałbym jeszcze wrócić na chwilę do tych czasów, oprócz tego, co już wspominałem, wydałem także dwukrotnie ulotki. Jedne w 1987 roku, drugie w 1988. Obydwie serie tych ulotek, one były już na bardzo przyzwoitym sprzęcie robione, acz-

kolwiek ja zawsze miałem zasadę, podobnie we współpracy z grupą Antoniego Macierewicza, że nigdy nie będę wchodził w jakieś niuanse, czy w jakieś tajemnice związane z drukarniami, z kolporterem, z kolporterką, żeby jak najmniej wiedzieć, starałem się zachować dystans i być wyłącznie autorem, między innymi dlatego, żeby w przypadku jakiegokolwiek wpadki nie można było ani mnie, i żebym ja miał czyste sumienie. Żeby być poza podejrzeniami jakimikolwiek. Niemniej jednak starałem się, można powiedzieć, wzbogacić tę skromną działalność, poprzez wydawanie ulotek. I w tym celu nawiązałem kontakt z Janem Lityńskim, o którym wiedziałem, że jest człowiekiem też godnym zaufania. Nawiasem mówiąc, aczkolwiek spotykaliśmy się w mieszkaniu u niego na Filtrowej, to zawsze w sprawach już szczegółowych wychodziliśmy na zewnątrz, żeby mieć stuprocentową pewność – to już był taki nawyk – że nie jesteśmy na podsłuchu. No więc Jankowi Lityńskiemu już po uzgodnieniu dostarczałem tekst tej ulotki i jednocześnie przekazywałem mu... Nie było to w takiej konspiracji, jak na filmach kryminalnych: przeczytaj i spal albo przeczytaj i połknij, niemniej jednak te zasady takie podstawowe konspiracji były zachowywane. Więc dawałem mu tekst i oprócz tego na osobnej kartce adres, gdzie te ulotki po wytworzeniu należy dostarczyć i pod jakim adresem te ulotki należy dostarczyć. No i dzięki temu jednocześnie poznałem też Henia Wujca i pamiętam, że już po wyborach 4 czerwca, w których brałem udział, a to dzięki temu, że... Chyba to było w kwietniu, na początku kwietnia albo pod koniec marca 1989 roku, a więc nie po wyborach, przepraszam, tylko po Okrągłym Stole, kiedy już powstały zaczęły tzw. Komitetu Obywatelskiego. Henio Wujec poprosił mnie, żebym pojechał na Wybrzeże i tam pomógł kandydatom Solidarności, już wtedy wytypowanym, pomóc w kampanii wyborczej, jako, można powiedzieć, specjalista od spraw tego, co nazywamy mediami. I tak było. Pojechałem do Koszalina, gdzie już wcześniej miałem nawiązany kontakt m.in. z Franciszkiem Sakiem, takim związanym z miejscową opozycją, i później do Słupska z Edkiem Millerem. No i tam obsługiwałem w miarę skromnych możliwości spotkania tych kandydatów, uzgadniając z nimi mniej więcej treść przekazu tego, jaki powinni realizować, jaki powinni robić w czasie tych spotkań. I jednocześnie byłem na każdym tym spotkaniu na zapleczu, nie ujawniając się, tylko od czasu do czasu słuchając tego, co mówią, czyli słuchając pytań z sali, od czasu do czasu dostarczałem na kartkach tam jednozdaniowe jakieś rady, co jeszcze można do tych wypowiedzi dodać i jakie jeszcze kwestie poruszyć. I tak wędrowałem sobie między Koszalinem a Słupskiem i innymi miejscowościami, w których odbywały się te spotkania, razem z kandydatami. Już nie pamiętam wszystkich nazwisk. Na pewno wśród nich był Janek Król z Warszawy, to pamiętam. Taki specjalista od spraw ekonomii. Pamiętam panią cudowną, panią nauczycielkę z Koszalina, już świętej pamięci, niestety nieżyjącą, której także pomagałem. No i oczywiście Frankowi Sakowi głównie pomagałem. Otóż będąc w Słupsku w Komitecie Obywatelskim, Edek Miller, bo on był autorem tego odkrycia, odkryto podsłuch w Komitecie Obywatelskim. Otóż było tak, że powstające wówczas Komitety Obywatelskie dostawały lokale od władz administracyjnych danej miejscowości i to były różne lokale, czasami szkolne jakieś mało używane albo w jakichś urzędach miejskich, albo tak jak w Słupsku w Domu Kultury wynajęto taką dużą salę na rzecz Komitetu Obywatelskiego. Rzecz polegała na tym, że władze miały przystosować ten lokal do posiedzeń Komitetu Obywatelskiego i tę salę odremontowały i odmalowały. Okazało się, że w czasie tego remontu najwyraźniej zainstalowano podsłuch. Był to bardzo chytrze umieszczony podsłuch, mianowicie nie w żadnym żyrandolu ani gdzieś pod ladą stołu, tylko w ścianie wbudowany, taka mała szklana rurka, która miała wyjścia na zewnątrz, o dwóch otworach, dosłownie ułamkach milimetrów. To był jakiś w miarę nowoczesny sprzęt Służb Specjalnych, najwyraźniej uzyskany w ostatnich latach. I zacząłem się interesować, już jako dziennikarz, kto i w jaki sposób ten podsłuch założył. No i muszę powiedzieć, że tam z takimi drobnymi osiągnięciami, drobnymi sukcesami udało mi się opisać, bo oprócz strony technicznej, którą po wykryciu później i demontażu przy pomocy

specjalistów, opisałem zasadę działania tego podsłuchu. On był połączony na stałe z resztą takimi łączami kablowymi z jednym z pomieszczeń obok, na którym po prostu mechanicznie nagrywało się to, o czym rozmawiano w tym Komitecie Obywatelskim, o pewnie jakichś sprawach związanych bezpośrednio właśnie z wyborami. I tylko zmieniane były rolki magnetofonu, na który nagrywano te rozmowy. No ale istotne było to, żeby ustalić, i to mi się także udało ustalić, kiedy mniej więcej, w jaki sposób i kto był zamieszany w założenie tego podsłuchu. Ustaliłem, że na kilka dni przed rozpoczęciem tego remontu sali Komitetu Obywatelskiego został zatrudniony jakiś człowiek. Udało mi się uzyskać jego imię i nazwisko, a później także miejsce zamieszkania. Pojechałem tam, gdzie on mieszkał, pod Słupskiem i okazało się, o czym sąsiedzi bez najmniejszych oporów opowiedzieli, że jest to były funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa w stopniu majora czy też kapitana, od kilku lat na emeryturze i po prostu wezwany najwyraźniej pod broń jako tak zwany portier w tym Domu Kultury. I to portier, który urzędował tylko w godzinach nocnych, właśnie po to, żeby wpuścić jakąś ekipę specjalistów Służby Bezpieczeństwa, która ten podsłuch zamontowała. A tak nawiasem mówiąc, jak już mowa o podsłuchach, to też opowiem Państwu taką ciekawostkę, jak część opinii publicznej pamięta, mianowicie na początku 1990 roku powstała Komisja ds. zbadania zbrodni MSW, której przewodniczącym był Janek Rokita. My z Jankiem Rokitą poznaliśmy się wcześniej w Krakowie, kiedy ja przyjeżdżałem do Krakowa dwukrotnie na spotkania wtedy opozycji, między innymi do Krzysia Kozłowskiego, także już świętej pamięci. W związku z tym, jak Janek Rokita został przewodniczącym tej komisji, to ja jako dziennikarz „Gazety Wyborczej”, miałem świetne dojście do wszelkich podstawowych, pierwszych ustaleń, które ta Komisja ustalała. I o tych właśnie ich informacjach, zdobytych informacjach pisałem i opisywałem te zdobyte informacje. Otóż z Jankiem Rokitą, co najmniej co drugi dzień, ale często bywało, że codziennie, wieczorami już po dniu pracy, można powiedzieć, jego jako członka tej Komisji, czyli przewodniczącego tej Komisji, ja jako dziennikarza, przygotowywaliśmy się, można powiedzieć, do tego, czym się zająć, ja oczywiście tylko jako świadek, on jako człowiek, który kierował pracami tej Komisji. Ustalaliśmy, czy on ustalał, a ja się dowiadywałem jako dziennikarz, czym ta Komisja kolejnego dnia, czy kolejnych dni się będzie dowiadywać i czym się będzie zajmować. I proszę sobie wyobrazić, że po latach, niewiele chyba czterech czy pięciu, dowiedzieliśmy się, że w tym pokoju, również podobnie, jak w owym lokalu w Słupsku, został założony podsłuch. I nie spodziewaliśmy się naprawdę w najśmielszych w ogóle wyobrażeniach. Nie przypuszczaliśmy, że MSW i generał Kiszczak będą do tego stopnia cyniczni, że w takim lokalu będą zakładali podsłuch. Ten podsłuch szedł wprost, ale to wprost autentycznie na biurko Czesława Kiszczaka, ówczesnego szefa MSW. Pamiętajmy, że Czesław Kiszczak do lipca 1990 roku był jeszcze szefem MSWiA. To jako drobną ciekawostkę powiem. Ale wracając do tego podsłuchu słupskiego, no to pierwszy taki duży reportaż o tym podsłuchu zamieściłem jeszcze w podziemnej gazecie „Głos”, a po jakimś czasie, już kiedy zacząłem pracować w „Gazecie Wyborczej”, również ten tekst w nieco skróconej wersji niż w tej pierwszej zamieściłem w „Gazecie Wyborczej”.